
Bartłomiej Kiełt
ŻYWI I MARTWI
Tom I
Misja przetrwanie

Bartłomiej Kiełt

ŻYWI I MARTWI

Tom I

Misja przetrwanie

Wydawnictwo Psychoskok

Konin 2017

Bartłomiej Kiełt
„Żywi i martwi” Tom I „Misja przetrwanie”

Copyright © by Bartłomiej Kiełt 2017
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o. o. 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki: Robert Rumak
Zdjęcie okładki © Fotolia – Getmilitaryphotos; Fotolia-kaninstudio; Fotolia - merydolla
Korekta: Emilia Łazińska, Dominika Urbanik
Skład: Agnieszka Marzol

ISBN: 978-83-8119-052-7

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706
http://wydawnictwo.psychoskok.pl
http://www.psychoskok.pl
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Spis treści

AKT PIERWSZY 7
ROZDZIAŁ I Ostatnia misja 7
ROZDZIAŁ II Mike 22
ROZDZIAŁ III Najgorsze za nami 35
AKT DRUGI 70
ROZDZIAŁ IV Daniel i Sofia 70
ROZDZIAŁ V Ocaleni 106
ROZDZIAŁ VI Przysługa 140
ROZDZIAŁ VII Obietnica 171
ROZDZIAŁ VIII Podziemne opowieści 211
ROZDZIAŁ IX Obietnica cz.2 241
ROZDZIAŁ X Potwór wśród nas 293
AKT TRZECI 305
ROZDZIAŁ XI Trzy miesiące później 305
ROZDZIAŁ XII Układ 326
ROZDZIAŁ XIII Wymiana 352
ROZDZIAŁ XIV W niewoli 400
ROZDZIAŁ XV Pogrzeb 441
ROZDZIAŁ XVI Infiltracja 466
ROZDZIAŁ XVII Pożegnanie 496

ROZDZIAŁ XVIII Port bandytów.....508
AKT CZWARTY.....581
ROZDZIAŁ XIX Zdrada.....581
ROZDZIAŁ XX Podwójna głupota 601
ROZDZIAŁ XXI Nadzieja na przyszłość.....630
EPILOG.....649

Swoją pierwszą książkę dedykuję Pani Ani Żywioł, która była obecna w moim życiu przez cały proces jej powstawania. To mój pierwszy czytelnik, który z niewiarygodną wytrwałością wskazywał błędy i sugerował poprawki. Mimo że, jak sama mówiła, „jest to kompletnie nie jej świat", zawsze powtarzała mi, że mam talent i powinienem pisać. Dziękuję, Pani Aniu, gdyby nie Pani, książka ta z pewnością by nie powstała, dzięki Pani również jest ona o wiele bliższa ideałowi.

AKT PIERWSZY

ROZDZIAŁ I Ostatnia misja

Wojskowy hamer uderzył z łoskotem w barykadę, którą tworzyły dwa samochody osobowe stojące w poprzek jezdni. Oba pojazdy natychmiast ustąpiły drogi potężniejszemu, odskakując na boki. Kierowca siedzący w wozie ledwo poczuł uderzenie, które nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. Olbrzymie stalowe zderzaki zamortyzowały uderzenie. Kątem oka spojrzał za odskakującą w lewo hondą, która wylądowała pod ścianą wysokiej kamienicy. Mężczyzna dodał gazu i zostawił za sobą staranowane samochody. Panowała ciemność, a widoczność była mocno ograniczona. Jedynym źródłem światła były dwie lampy na przedzie pojazdu i płonące jeszcze co jakiś czas mniejsze lub większe pożary. Gdzieniegdzie ogień zdawał się już dogorywać, ale gdzie indziej wydawało się, że może palić się całe wieki i w spokoju pustoszyć następne budynki. Na drodze była masa przeszkód takich jak opuszczone samochody, sterty gruzu, płonące kupy nie wiadomo czego i wiele innych niespodzianek, na które można było natrafić, tułając się w środku nocy po zgliszczach tego miasta. Mężczyzna gwałtownie szarpnął kierownicę, aby wyminąć autobus, który nagle wyrósł przed nim na środku skrzyżowania. Był to żółty autokar, którym uczniowie zazwyczaj jeździli do szkół. Ów autobus płonął jeszcze żywym ogniem. Dookoła niego, w świetle płomieni, można było dostrzec plamy czegoś szkarłatnego na asfalcie. Mężczyzna skręcił w lewo pomiędzy kolejne rzędy wysokich budynków. Nagle, gdy mijał kolejne wraki porzuconych pojazdów, dostrzegł ich w bocznej

uliczce – z e dwa tuziny postaci kroczących przed siebie melancholijnym, powolnym krokiem. Obijały się o siebie nawzajem i warczały groźnie na widok przejeżdżającego samochodu. Kilka z nich nawet wyciągnęło ręce do przodu, jakby chciało pochwycić w nie znikający za rogiem pojazd. Mężczyzna dostrzegł w lusterku jak niektórzy wybiegli na ulicę chwiejącym się krokiem i szli jeszcze przez chwilę tropem pojazdu, dopóki nie znikł im z oczu. John zacisnął ręce na kierownicy. Te przerażające postacie były kiedyś ludźmi. Teraz przypominały ich jedynie z wyglądu i budowy ciała. Tajemnicza zaraza wypleniła z nich skutecznie wszelkie ludzkie odruchy – uczucia, sumienie i inne elementy człowieczeństwa. John Bowl – żołnierz armii Stanów Zjednoczonych, dostał misję polegającą na odnalezieniu i wydostaniu z tego piekła ocalałych ludzi. Jego oddział jako jeden z niewielu przetrwał kompletny do tego momentu. Stacjonował na lotnisku poza miastem. John należał do tak zwanego *pierwszego ogniwa.* Znaczyło to tyle, że jego zadaniem był transport ocalałych z miasta na lotnisko, skąd samolotami zostawali wywożeni w bezpieczne miejsca. Nie spał już od trzydziestu sześciu godzin. Przez ten czas nieustannie kursował między miastem a lotniskiem. Uratował już kilkudziesięciu ludzi. Oprócz niego po mieście jeździło jeszcze kilka patroli. Zazwyczaj jeździli dwójkami. Jedna osoba prowadziła, druga siedziała obok, aby w razie czego móc zastąpić kierującego. Teraz obok Johna leżał tylko jego karabin i zapasowe magazynki. Miał partnera do pewnego momentu, kiedy podczas jednego z kursów natrafili na samotnego mężczyznę uciekającego przed zgrają potworów. Obaj wysiedli z wozu i otworzyli ogień. Mężczyznom udało się załatwić Besie i Roon stracił czujność. Podczas kiedy zmieniał magazynek, jeden z nich pojawił

się znikąd i ugryzł go prosto w szyję. W takim wypadku postępowanie jest tylko jedno. Nie pomagają żadne tabletki czy zastrzyki. Osobie, która została ugryziona, może pomóc już tylko kulka w łeb. W przeciwnym razie będzie tylko gorzej.

John znów gwałtownie skręcił, wymijając wielkie zwały gruzu leżące na jezdni. Mężczyzna dostrzegł ponad sobą resztki zniszczonej kamienicy, której pozostałości wyścielały teraz ulicę grubą warstwą. Znalazł się w kolejnym korytarzu utworzonym przez budynki, które mijał nieustannie po obu stronach. Wielkie miasta, takie jak to, upadały jako pierwsze ze względu na duże zagęszczenie ludności i ogólną ciasnotę. Choroba rozprzestrzenia się błyskawicznie, kiedy miliony ludzi żyją na stosunkowo niewielkiej powierzchni w olbrzymich wieżowcach. Ogromny ścisk uniemożliwia również ucieczkę z miasta podczas wielkiej epidemii. Zakorkowane ulice, panika, pożary, kradzieże, mordy – oto obraz miasta przed całkowitym pogrążeniem się w śmierci. Miejscowa policja i pozostałości wojska nie były w stanie ogarnąć milionów panikujących ludzi oczekujących ratunku. W konsekwencji zaczęli oni kraść, aby przeżyć. Każdy myślał wyłącznie o sobie. Zaprzestano dostaw żywności i leków. Ludzie szybko stawali się głodni. Zabijali się dla jedzenia i czystej wody. Chcieli uciekać, jednak na ulicy trudno było przeżyć choćby kwadrans. Hordy żywych trupów zbierały krwawe żniwo, nie pozwalając ludziom wyjść z domów. Wojsko szybko się wycofało. Tak oto ostoja cywilizacji, wielka metropolia dwudziestego pierwszego wieku dająca schronienie wielu ludziom i zapewniająca im życie w najwyższym standardzie stała się pełną niebezpieczeństw dżunglą i więzieniem zarazem. Kiedy John o tym myślał, robiło mu się ciężko na duszy. Nie potrafił sobie tego wyobrazić – perspektywy

bycia więźniem w swoim własnym mieście. A przecież to tylko przykład. Na pewno w każdej metropolii scenariusz był bardzo podobny. Ludzie zamroczeni głodem, starający się przetrwać każdy kolejny dzień za wszelką cenę. Zaraza rozprzestrzeniała się tak szybko, że nie sposób było jej powstrzymać, a szczepionka nie istniała i nikt tak naprawdę nie wiedział, czy ktoś nad nią pracuje i zdąży z tym na czas. W miejscach, gdzie działały jeszcze telefony, Internet czy telewizja, non stop nadawane były informacje dla ludności i nowiny dotyczące rozwoju choroby na kontynencie. Przypadki zachorowań odnotowano w każdym zakątku Ameryki. Chorych z dnia na dzień przybywało, a miasta upadały jedno po drugim. Niedobitki wojska i policji próbowały ocalić jak największą liczbę ludzi częściowo odpornych na wirusa, jednak wszystko odbywało się chaotycznie i bezładnie. Tak naprawdę każdy działał na własną rękę.

– Tak właśnie wyglądał koniec świata, taki, jakiego go znaliśmy – pomyślał John, jednak nawet nie przeszło mu przez myśl, aby się zatrzymać, wycofać czy poddać. Miał do wykonania misję i wiedział, że nie spocznie, dopóki jej nie wypełni. Zapewni bezpieczeństwo ludziom, którzy na to czekają zamknięci gdzieś w domach i siedzący przy blasku świec, oczekujący na ratunek. Nie mógł ich zawieść.

Nagle to się stało. John kątem oka dostrzegł kształty dwóch postaci przemykających ostrożnie wzdłuż ściany budynku. Mężczyzna widział dokładnie – jedna z nich była mała, a druga sporo wyższa od niej, jednak smukła i drobna. Dostrzegł coś jeszcze. Za postaciami żwawo podążała grupa zakrwawionych umarlaków. John natychmiast skręcił w lewo i wbił się samochodem pomiędzy ofiarę i myśliwego. Zaparkował hamera na chodniku przed kamienicą, następnie

błyskawicznie z niego wysiadł, zgarniając jednym ruchem karabin z siedzenia obok. Kolejnym błyskawicznym ruchem odbezpieczył go i wycelował w tłum po drugiej stronie pojazdu. John przez sekundę mógł przyjrzeć się postaciom. Teraz był już pewien, że była to kobieta z dzieckiem – chyba dziewczynką. Kobieta wzięła ją w objęcia i skuliła się pod murem za plecami mężczyzny, zasłaniając jej uszy. Mężczyzna wystrzelił długą serię ze swojego automatu. Kilka potworów trafionych w głowę upadło na ziemię. Kilka wciąż próbowało się przedrzeć na drugą stronę przeszkody. Po chwili zombie zaczęły obchodzić samochód, a John był zmuszony do wycofania się. Odwrócił się i, podbiegłszy do kobiety, chwycił ją za ramię.

– Szybko, musimy się ukryć! – wykrzyczał jej w twarz, upewniając się, że jego słowa do niej dotrą. W takich sytuacjach taka pewność była konieczna, ponieważ w szoku ludzie nie funkcjonują normalnie.

Na szczęście zachowała zimną krew na tyle, by zrozumieć sens słów Johna. Wstała wraz z dziewczynką i pobiegła w kierunku wskazanym przez krzyczącego mężczyznę, jednocześnie celującego do zbliżającej się hordy potworów. Pobiegł za kobietą. Po chwili usłyszał jej pisk i natychmiast odwrócił wzrok. Przed nią zmaterializował się nagle kolejny trup. John podniósł karabin i zdjął go jednym strzałem w czaszkę. Kobieta instynktownie zasłoniła dziecko swoim ciałem i zakryła uszy. John dostrzegł, że opiera się o drzwi prowadzące do jakiegoś lokalu. Doskoczył do niej szybko i odsunął ją na bok jednym ruchem. Wziął rozpęd i z całej siły kopnął w zamek przy drzwiach, które ustąpiły. Dookoła było pełno trupów, zaczęły ich otaczać. W miejscu, gdzie wcześniej jeden z nich

zaatakował kobietę, pojawiło się kilka nowych. Znaleźli się w środku swoistego półkola, które zaciskało się z sekundy na sekundę.

– Szybko do środka! – krzyknął, wpychając kobietę i jej dziecko do wnętrza. Sam odwrócił się i posłał parę serii w tłum zombie, ścieśniający się tak, że po chwili John był zmuszony wejść do pomieszczenia. Zatrzasnął za sobą drzwi i przechylił stojącą obok oszkloną gablotę, aby je zastawić. Fala trupów z łoskotem uderzyła o szyby lokalu i drzwi prowadzące do niego. Mężczyzna odwrócił się, ocierając jedną ręką pot z czoła, drugą zaś trzymał karabin, którego lufa oparła się delikatnie o podłogę. Zobaczył stojącą na ugiętych nogach kobietę. Wyglądała, jakby ledwo mogła się na nich utrzymać, jednak z całych sił przytulała do siebie trzęsące się dziecko. Teraz mógł dokładnie przyjrzeć się kobiecie i małej dziewczynce, którą uratował. Długie czarne włosy opadały na zroszoną potem okrągłą twarzyczkę, na której teraz zobaczyć można było strach. Jej niebieskie oczy lustrowały uważnie Johna z mieszaniną zainteresowania i przerażenia. Matka ubrana była w długie dżinsowe spodnie, w które wtulała swoją małą główkę dziewczynka z pewnością będąca córką kobiety. Poznać to było można po niesamowitym podobieństwie, które nie mogło kłamać. John przez dłuższą chwilę wpatrywał się w tę scenę, jednak po chwili do jego uszu zaczął ponownie dobiegać hałas pochodzący z zewnątrz. Potwory nie dawały o sobie zapomnieć, dudniąc i waląc w szyby sklepowe.

– Dobra – zaczął mówić po wzięciu głębszego oddechu. Zdziwił się na dźwięk swojego głosu, który wydał mu się dziwnie nienaturalny.

– Nazywam się John Bowl. Jestem żołnierzem armii Stanów Zjednoczonych i jestem tu, abyście znalazły się w bezpiecznym miejscu. Teraz poszukam stąd jakiegoś wyjścia, a potem zabiorę was

z tego miasta – powiedział głośno i wyraźnie, aby obie dziewczyny go zrozumiały mimo szoku, w jakim z pewnością się znajdowały. Kobieta pokiwała tylko głową na znak, że zrozumiała, jednak nie zdobyła się na nic więcej. John minął ją, aby móc rozejrzeć się po sklepie. Dopiero teraz zauważył, że znaleźli się w salonie okulistycznym. Stali w niewielkim holu, dookoła którego umieszczone były szklane gabloty z wystawami różnych okularów. Mężczyzna minął ladę, za którą znajdowało się dwoje drzwi. Jedne z nich prowadziły na prawo. Musiało tam mieścić się jakieś niewielkie biuro lub gabinet kogoś ważnego. Same drzwi były obite skórą, a złoty napis na niej głosił imię, nazwisko i stanowisko właściciela gabinetu. John z lekkim uśmiechem nacisnął klamkę, która ku jego zdziwieniu z łatwością dała się opuścić. Drzwi uchyliły się lekko, a mężczyzna chwycił mocniej karabin obiema rękami. Dopchnął je ciężkim wojskowym butem i podniósł broń do oczu. Było ciemno, jednak widział kontury mebli i był przekonany, że zobaczy ewentualnego napastnika. Zapuszczał się ostrożnie w głąb niewielkiego pokoju, jednak po chwili zaniechał ostrożności, gdyż stwierdził, że pomieszczenie tak małe z pewnością jest puste.

– Więc... – żołnierz zaczął, jednak nie znał nawet imienia kobiety, więc zająknął się zaraz na starcie.

– Sara, jestem Sara – powiedziała, domyślając się, o co chodzi mężczyźnie.

– A to moja córeczka Alice – przedstawiła dziecko, które stało, patrząc zapłakanymi oczami na żołnierza.

– Dobrze, a więc Alice – mężczyzna zwrócił się do dziewczynki, kucając przed nią, aby znaleźć się na wysokości jej twarzy. – Zaprowadzę teraz ciebie i mamusię do tego pokoju, gdzie poczekacie na mnie.

Wrócę po was, jak tylko poszukam drugiego wyjścia z tego sklepu. Dobrze?

Dziewczynka pokiwała twierdząco głową.

– A będziesz pilnowała mamy? – zapytał mężczyzna.

– Tak – odpowiedziała po chwili wahania mała.

John uśmiechnął się do niej i wstał, spostrzegając od razu życzliwy i zdradzający zaskoczenie uśmiech Sary.

– Będę musiał was tutaj zamknąć dla waszego bezpieczeństwa – powiedział John, kiedy tylko Sara usadziła córkę na fotelu i sama zajęła miejsce obok.

– Dobrze – powiedziała ze zrozumieniem.

– Jest jeszcze coś – zagadnął John, przykuwając uwagę kobiety, która spojrzała na niego pytająco.

– Umiesz strzelać?

– Kiedyś dawno temu próbowałam strzelać z wiatrówki, ale to było, jak byłam mała – odrzekła.

– Posłuchaj mnie uważnie: gdyby cokolwiek się stało, musisz obronić swoje dziecko.

John przykucnął przy kobiecie i podał jej pistolet, który wyjął z kabury. Była zaskoczona i patrzyła na mężczyznę z szeroko otwartymi oczami, jednak wzięła od niego broń.

– Nauczę cię, to nic trudnego, tylko wstań.

John ustawił kobietę, która trzymała trzęsącymi się rękami wyciągnięty przed siebie pistolet.

– Doskonale. Nie możesz się tak bać, musisz być pewna, że chcesz obronić siebie i Alice – mówił do niej, kiedy poprawiał ustawienie jej rąk.

– Teraz go odbezpiecz i wyceluj w tamten wazon – powiedział,

wskazując półkę na drugim końcu gabinetu. Kobieta odnalazła palcem przycisk zabezpieczenia broni i przesunęła go, a następnie wycelowała w obiekt. John przypatrywał się jej. Choć do tej pory wyglądała na naprawdę przerażoną i oszołomioną, teraz miała hardą twarz, a oczy wyrażały determinację. Głośny huk i wazon roztrzaskał się na tysiąc kawałków. John zostawił broń Sarze, która po krótkim kursie już umiała się z nią obchodzić, i zamknął drzwi kluczem znalezionym na biurku w gabinecie. Stanął na środku salonu i spojrzał w stronę hordy nacierającej uparcie na oszkloną ścianę. Wiedział, że musi się śpieszyć i nie może marnować czasu. Zastanawiał się przez chwilę, czy po prostu nie otworzyć ognia i rozstrzelać wszystkie zombie przed budynkiem, jednak przypomniało mu się, że zostawił zapasową amunicję w samochodzie i nie mógł sobie na to pozwolić. Poza tym było ich zdecydowanie za dużo, no i teraz nie mógł tak ryzykować, bo nie był już sam. O wiele łatwiej będzie, jak znajdzie drugie wyjście na zaplecze, a tam jakiś samochód. Postanowił sprawdzić drugie drzwi. Były to nieco obdrapane, białe, drewniane drzwiczki z niewielką szybą u góry. Spróbował je otworzyć, jednak okazały się zatrzaśnięte.

– Nie ma siły, trzeba wyważyć – powiedział pod nosem i naparł ramieniem na twardą powierzchnię. Raz, drugi, trzeci i w końcu z głośnym trzaskiem drzwi otworzyły się. John od razu zdjął karabin z pleców i wycelował w ciemność. Przyszło mu teraz do głowy, że jest kompletnym idiotą. Mógł najpierw zajrzeć przez szybkę na górze, bo przecież natrafiłby jeszcze na drugą taką ekipę jak z przodu i byłoby po nim. Miał więcej szczęścia niż rozumu. Mimo swoich obaw mężczyzna nie widział żadnego trupa. Stąpał coraz dalej w głąb niewielkiego podwórza, na którym się znalazł. Nastawiał czujnie

uszu, aby w razie czego usłyszeć kroki za plecami. Wzrok często zawodził, szczególnie w tak gęstej ciemności. Przez dłuższy czas nie widział ani nie słyszał niczego. Jego oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności. Po jakimś czasie zorientował się, że na środku placu stoi samochód dostawczy z logo znanej pizzerii. John wraz ze znajomymi często zamawiał z niej jedzenie na długie wieczory spędzane zazwyczaj przy grach na konsoli czy oglądaniu meczu. Aż ciężko było uwierzyć w normalność i zwyczajność tych wspomnień. Teraz mężczyzna stąpał po zgliszczach swojego miasta, a jego przyjaciele najprawdopodobniej nie żyli.

– Nie czas teraz na to – pomyślał i zajął się dalszymi oględzinami tego miejsca. Po jakimś czasie John zauważył, że z podwórka można było wyjechać niewielką bramą wychodzącą na przeciwną stronę kamienicy. Była jednak zamknięta, zresztą tak samo jak i samochód. Żołnierz był pewien, że znajdzie wszystkie klucze w lokalu pizzerii, do której można było wejść przez zachęcająco wyglądający taras. Mężczyzna ścisnął mocniej swój karabin i wszedł na dwuschodkowe podwyższenie. Parasole przy stołach były złożone, a krzesła poukładane równiutko nogami do góry. Ta dbałość i czystość niemal raziła po widokach, jakie należały teraz do codzienności. John zrobił kilka kroków dalej, rozglądając się bacznie, czy nie został tutaj nikt z obsługi. Nikogo nie było. Było tak spokojnie i zwyczajnie, aż zaczął się zastanawiać, czy coś nie stało się z rzeczywistością, czy nie znalazł się w miejscu, gdzie realizm nie obowiązywał, a wszystko było takie, jak tego chciał. Wybił dolną szybę oszklonych drzwi i w pozycji kucającej dostał się do środka. Stwierdził, że narobił takiego rabanu, że jeżeli coś by tu jeszcze dychało, to już by się na niego rzuciło. Rozejrzał się po lokalu. Tutaj również wszystko było

w jak najlepszym porządku. Stoły podobnie wyglądające jak na zewnątrz, ani jednego śmiecia na podłodze, ani jednego wybitego okna i ani jednego zombie. John ruszył dalej, zbliżając się do lady, za którą zapewne stała kiedyś śliczna pani, uroczo uśmiechając się przy odbieraniu każdego zamówienia.

– Z tego, co pamiętam, to te dostawczynie mieli niezłe – przypomniał sobie nagle John, uśmiechając się w duchu. Zobaczył z tyłu na ścianie, obok rozmaitych przypraw, wiszących noży i innych rzeczy, zawieszone na wieszaku pęto kluczy. Mężczyzna bez wahania chciał przeskoczyć ladę, jednak nagle, tuż przed jego twarzą, wyrosła śliniąca się postać. Wyglądało to dosłownie tak, jakby wyrosła, ponieważ niesamowicie szybko podniosła się z podłogi z drugiej strony lady. Johnowi mało co serce nie wyskoczyło z piersi. Ujrzał wysoką, złotowłosą kobietę ubraną w czerwoną koszulę z logo zakładu. Jej oczy nie miały wyrazu, z warg kapała krwawa ślina, a twarz pełna była nienawiści i zwierzęcego głodu. Mężczyzna nie zdążył nic zrobić, kiedy kobieta chwyciła go za ubranie i zbliżyła do swojej wygłodniałej gęby. John natychmiast oprzytomniał i, używając całej swojej siły, złapał napastniczkę tak, że uderzyła z dużą siłą o ścianę z tyłu, a sam John upadł na ziemię. Jego karabin odleciał gdzieś na bok. Żołnierz podniósł się tak szybko, jak było to możliwe, i dobył noża ze skórzanego pokrowca. Nienawistna twarz kobiecego potwora ponownie pojawiła się za ladą i patrzyła prosto na niego. John był przerażony. Sapał ciężko, a jego serce waliło jak oszalałe. Potwór zaczął obchodzić ladę i ślinić się coraz bardziej, tak że stróżki czerwieni spływały po jego ubraniu na ziemię. John ścisnął mocniej nóż i uniósł go nad głowę. Wydał z siebie głośny krzyk i wbił go w górną część mózgoczaszki. Ostrze zagłębiło się z nieprzyjemnym odgłosem

w głowie potwora, a ten nieprzytomnie przewrócił oczami, czemu towarzyszył dziwny dźwięk wydobywający się prosto z paszczy stwora. Początkowo John czuł napór bestii na siebie, powoli jednak słabnący, aż w końcu upadła u nóg żołnierza. Zombie instynktownie nadal kłapało zębami i śliniło się obficie, w końcu zsunąwszy się na posadzkę, opadło z wszelkich sił. Mężczyzna odszedł od niego pośpiesznie, zostawiając nóż w ciele. Zrobił kilka głębokich oddechów i uspokoił się trochę, lecz po chwili usłyszał dźwięki tłuczenia o podłogę piętro wyżej, tuż nad swoją głową. Jak najszybciej zdjął klucze z haczyka i skierował się w stronę wyjścia. Prawie by zapomniał o swoim nożu, jednak kątem oka zobaczył, że wystaje z głowy ofiary i zabrał go, wcześniej wycierając o obrus jednego ze stolików.

– Bez noża jak bez ręki – zamruczał pod nosem. Zdanie to było jak najbardziej prawdziwe; przez wiele lat w służbie przekonał się o tym niejednokrotnie, a nóż nosił przy sobie niemal zawsze, czy kiedy był w mundurze, czy bez niego.

Uprzednie odgłosy można było zlokalizować teraz bardziej od strony schodów prowadzących na wyższy poziom, więc John szybko opuścił lokal. Zanim odszedł, zastawił drzwi metalowym krzesłem tak, aby nic nie wylazło ze środka przynajmniej do ich odejścia.

Samochód dostawczy, do którego odnalazł klucze, był zwykłą osobówką, którą wyróżniało jedynie logo lokalu wymalowane na boku auta. W takich ciemnościach wszystko trwało dwa razy dłużej, nawet głupie otwarcie drzwi. Kiedy upewnił się, że samochód jest na chodzie, a w baku znajduje się benzyna, mógł wrócić do salonu okulistycznego, gdzie zostawił Sarę i jej córkę – Alice. Wszedł do środka i stwierdził, że trupów przy szybach jest znacznie mniej, a jedynie kilka z nich waliło dalej uporczywie w szklaną barierę.

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok